ROK TRZECI.

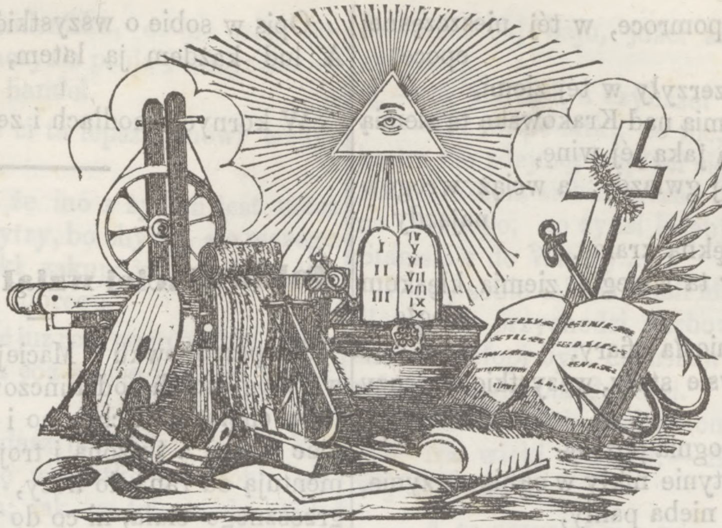
№ 16.

Warszawa

Dnia 6 (18) kwietnia 1858.

Niedziela

2ga po Wielkiéj Nocy.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, któryś przez upokorzenie się Syna Twojego podźwignął świat w zagubę zagrzązły, racz udzielić Twym wiernym ustawicznéj radości, aby ci, których od wiecznéj śmierci ciosów ratowałeś, nieskończonem weselem z dobroci Twojéj się nasładzali. (Kollekta na Niedzielę wtórą po Wielkiéj nocy.

Śty Karol gwardyan Bernardynów

pod Kielcami na Karczówce.

—

Pod Kielcami w gór szczycie, niby gwiazda w błękicie
Stoi klasztor *Karczówką* nazwany;
Zdala w urok już poi, tak przyroda go stroi
Jakby ręką aniołów stawiany.
Słońce w jasne go szaty, ziemia w lasy i kwiaty
Tak cudownie wokoło obwija,
Że tam patrząc w przyrodę, czujesz w duszy pogodę
I myśl z wiarą do nieba się wzbija.
Niegdyś nad tym klasztorem, życia jaśniał wciąż wzorem
Gwardyan, który Karolem był zwany;
Z czynów pełnych ofiary, z wzniosłej cnoty i wiary
Był jak ojciec od wszystkich kochany.
Bo też ksiądz był uczciwy, jak apostoł prawdziwy:
Czy wypadło nań gdzie iść z pomocą,
Choć świat chmury okryły, choć i gromy z nich biły,
Choć i ciemną jak gdyby grób nocą,
Rzekł: kto z Bogiem, ten śmiało—brał Krew pańską i Ciało,
Gdyby nawet i zbrodzień umierał,
Szedł, modlił się z nim szczerze, aż go wzmocnił w swej wierze
I zbawienia mu niebo otwierał.
Swéj pomocy nie zwlekał, biedny darmo nie nie czekał,
Bo jak brata do siebie prowadził,
I nieskąpym był w datku, bo w największym upadku
Jakby ojciec ratował i radził.
O! wierzcie mi o wierzcie, w każdéj wiosce czy w mieście
Jak ta ziemia Krakowska jest cała,
Tak o zacnym kapłanie, pełnym cnót gwardyanie
Między ludem szerzyła się chwała.
O! téj chwały początek już zszedł w źródło pamiątek,
I trwać będzie dlań czasy wiecznemi.

Stańmy w wieków pomroce, w téj nieszczęsnej epoce,
Gdy się klęski szerzyły w téj ziemi,
Kiedy burzą olbrzymią nad Krakowską tą ziemią
Jakby chłosta za jaką jéj winę,
Bladły szczęścia jéj gwiazdy, a wciąż wrogów najazdy
Pustoszyły tę piękną krainę.
Gdzie ćma wrogów ta wbiegła, ziemia klęskom uległa
I spustoszeń poniosła ofiary,
Bo gdzie miasta, wsie stały, wszystkie w gruzy padały,
Szerząc wojnę i ognia pożary.
Nawet Boskie świątynie nikły w ognia perzynie,
Jakby gromy je nieba paliły;
Wciąż zawistna złość wroga, a z niéj wojny pożoga
Obraz zemsty sromotnej tworzyły;
Zewsząd oddźwięk żałoby, wszędzie stały się groby,
Że dziś wspomnieć to boleść przeraża,
Zdawało się, że cała ziemia na się przywdziała
Smutną postać wielkiego cmentarza.
W takiej wojnie zaciętéj Karol w męztwie niezgięty
Z księżmi bronił klasztoru od wroga,
Tak obronę rozwijał, że wróg darmo dobijał,
Swiętokradzka nie weszła tam noga.
Karol w bitwie był śmiały, choć dla Boskiéj żył chwały,
Jego postać tak wrogom groziła,
Taką wrzała swobodą, taką lśniła pogodą,
Jakby w niebie o klasztor radziła;
W wielką siłę wzmacniana, jakby w Bogu czerpana,
Olbrzymiała śród wszystkich dla wzoru,
Tyle było w niéj wdzięku, jakby anioł na ręku
Zniósł ją z nieba w obronie klasztoru.
Choć wróg klasztor pominął, lecz Gwardyan nasz zginął,
Bo skroń kula strzaskała mu sroga,
A duch jego promienny, cnotą męztwem zbawienny
Nową gwiazdą ozdobił Tron Boga.
Gdy czyn jego tak święty, w sprawie wiary podjęty,
Aż do Rzymu z radością donieśli;
Z wolą Ojca świętego, dla Karola zmarłego
W swym ołtarzu statuę mu wznieśli,
I w tęż szatę ubrana, co krwią jego oblana,
Opis w sobie o wszystkiém zawiera,
A lud każdem ją latem, światłem, liściem i kwiatem
W kornych modłach i ze czcią ubiera.

Jakto Maciej wziął się do handlu.

—

Na przednowku u Macieja czynszownika we wsi Bogucicach pod Pińczowem, kuso jakoś było w chałupie. I chłodno i głodno, cztery kąty, piec piąty, a tu żona i troje małych dzieci lamentują od rana do nocy, bo ni to czem okryć grzesznego ciała, ni co do gęby włożyć, a bieda aż piszczy i choćbyś ją siekierą rąbał, to nic nie zrobisz. A jednakże dawniej, kiedy to Maciej pilnowali chałupy i roli, to i zboża było dosyć w sąsieku i dwie krowy stało na stajni i w skrzynce trochę grosza, izba wyglądała bielutko, a na obojgu uczciwy przyodziewek. Ale cóż chcecie? —kto pracuje, to ma, a komu wróble po głowie nie przymierzając jak pod strzechą jaką zaczną poświstywać, i nie wierzy nikomu, ino swojemu rozumowi, to zawsze na biedę wyjdzie.

Gadali nieraz sąsiedzi: Macieju, ej Macieju, pilnujcie roli, bo z tego chléb; nie słuchajcie żyda, co was ino mani i na jarmarki wyciąga, bo ani obaczycie, jak wszystko pójdzie wniwecz.

Ale gdzie mu tam słuchać takich rzeczy, kiedy Maciej zaprzyjaźnili się z Berkiem jakoby swój ze swoim, jeździli z nim co poniedziałek do Kielc na targi, szachrowali z sobą jako prawdziwi żydzi. Bywało, przyjedzie z drogi, posiedzi dzień jaki albo dwa, a jużci zjawia się czarny Berek z Pińczowa i szeptu, szeptu, Maciej dalejże ładować wózczynę. A tak się już przez rok pono do tego usługiwania przyzwyczaił, że choćby niedziela, choćby jakie wielkie święto, Maciej rznie sieczkę w chałupie, łata półkoszki i nie zważa na perswazye swojej kobiety, łajania sąsiadów i samego księdza dobrodzieja, który już nieraz z ambony wyraźnie ku niemu się obracał.

— Co mi tam rola, mówił do swej kobiety; dłubiesz i dłubiesz, narobisz się aż kościska bolą, a niczego się nie dorobisz. Zboże oto tanie, nie zawszeć się ta i urodzi, a jeszcze na naszém polu

albo piach, albo kamieniska, co ino człek nożyska pokaleczy, naczynia psuje i wszystko — najlepszy to już jest handel.

— Baj baju, gdzie ci ta lepszy, mówi wzdychając Maciejowa.

— A ja ci gadam, że ino z żydem jest rzecz handlować. On ci chytry, bo chytry, ale niczego nie pożałuje, i gorzałki zakupi jak trzeba, i jak narai co dobrego, to dobrego.

— Mój ty Boże, toć już rok pono będzie, jak z Berkiem furmanicie, a cóż macie jak nie biedę, a cóż on ci narail?

— Eh! gadasz i gadasz jak głupia baba i koniec. Jużci naraz się wszystko nie zrobi, nie turbuj się nadarmosa; jak go tak kiedy zajdę z *mańki* co to ha! Ty wiesz to, ja owo; a teraz nie ma jak handlowanie, spekulacya, ale na to trza nauki, trza długiego przypatrunku. A Berek jest sobie żyd uczciwy, przyobiecał wyuczyć wszystkiego, a choćby i nie chciał, to ja sam spenetruję od niego i będzie...

Obiecanka cacanka jak to mówią, a głupiemu radość. Maciej jeździli i jeździli z Berkiem, dusili trochę grosza na owo handlowanie, przepatrywali u żydów, a w chałupie jeszcze gorsza była bieda. Czynsz i podatki należały się do dworu i do powiatu, exekucye chodziły za exekucyami, zboża niema, w komorze i stodole pustki; sprzedała się krowa, sprzedał się i wieprzak i jałówka, dobytek marniał, a Maciej swoje gadał: nie turbuj się niebogo, będzie to będzie...

Nareszcie ku drugiej wiośnie nie było czem i ostatniej krowy pożywić, z sąsiadów nikt nie chciał poratować, bo Maciej od nich uciekał; kobieta jak mogła, tak sobie radziła, darła słomę ze strzechy, rznęła dla krowy, ale że to było stare i przegniłe słomsko, więc krowa jadła ino z głodu i cherlała i kwękała i chudła, aż jednego rana zastała ją Maciejowa z wyciągniętemi kopytami.

Jak się o tem dowiedział Maciej, bardzo mu się żal zrobiło owej krowiny i powiada kobiecie:

— No, no, nie turbuj się, już ja ta z tym żydem furmanić nie będę, to ino mitręga, obraza Boska, strata dobytku i zysku nijakiego,

— Rychło wczas przyszedł wam rozum do głowy, a teraz kiedyście wszystko sponiewierali, to z czemże pójdziecie do roboty?

— Eh! baj baju, jużci się ta grosza trochę znajdzie...

— A podatki, a czynsze?

— Co ta podatki, to nic, przecie głowy z karku nie zdejmą; zapłaci się, to zapłaci. A teraz ja sam na siebie zacznę handlować; nakupię po wsi tego, co żydzi kupują i pojadę na S. Stanisław do Wiślicy...

Kiedy sobie tak układali Maciej rozmaite handlowanie, przychodzi karbowy ze dworu, bo chociaż chłopi byli czynszownikami, dwór był sobie dworem jak dawniej.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.— A cóż ta powiecie mój karbowy?

— A to przysłał mię pan wedle owej skóry, co ją macie z tej upadłej krowy. We dworze siedzi rymarz i naprawia porządki, a tu jakby na złość zabrakło rzemienia, to pan kazał wam powiedzieć, żebyście sprzedali, i daje za nią trzydzieści i pięć złotych.

— A niechże ta daje komu chce, ale nie mnie; ja ta nie mam skóry na przedaj do dworu.

— Eh! Macieju nie gadalibyście głupstwa, cóż wam z owej skóry przyjdzie, a panu wygodzicie i krzywdy nie macie, bo nikt wam tyle nie da. On i tak bardzo dobry jest pan, czeka i czeka na czynsz od was, a jak mu teraz nie sprzedacie, to powiedział: wyrzucę hultaja.

— Niech spróbuje, odpowiada Maciej; cóż to sprawiedliwości nie ma na świecie, czy co?

— No, ale skórę przedacie?...

— Powiedziałem już, że nie, to nie, bo zawsze lepiej sprzedać w mieście na jarmarku, niżeli ta panu we dworze. Z żydem to człek się aby natarguje dowoli, a z panem naszym to trzy słowa powie i nawet kieliszka gorzałki żałuje.

— Pamiętajcie Macieju, żebyście i wy tego nie żałowali, bo dwór zawsze wam potrzebny; wlezie krowa, wlezie gęś w szkodę, czy wedle zbiorki z lasu...

— Nie mam ja ta bydła, to nie wlezie, a zresztą jak zajmą, to zajmą.. ale skóry nie sprzedam.

—

Czy z tego, że jarmark był z przeszłego tygodnia odłożony, czy że na przednowku niewiele już mieli ludzie do sprzedania, ale jakoś mało fur chłopskich stało na rynku w Wiślicy; żydzi kręcili się jak mogli, zaglądali do wozów,

zaczepiali po ulicach, wołali na przechodzących, targowali, kupowali, zwyczajnie jak żydzi.

Maciej naskupywał po wsi trochę zboża, trochę jaj, trochę lnu i zabrawszy ową skórę, jechał sobie zwolna, myśląc, co on to kupi na drugi jarmark do Pińczowa, jak zarobi i jeszcze zarobi—jak przyjdzie do pieniędzy, zostanie panem, będzie pijał wódkę na dwanaście groszy kwaterkę, jadał mięso codzień i jajecznicę, jak będzie najmował parobków, kpił z pana, przed którym choćby się oko w oko zeszli, już czapki nie uchyli.

Dojeżdża do miasta, gdy żydek stojący przy karczmie woła: stój! i zbliża się do fury, za nim drugi, trzeci, dziesiąty i przewracają słomę i plondrują jak szare gęsi na owsiku.

— No, czego mię będziecie tarmosić?

— Zapłaćcie targowe.

— Zapłacić, zapłacę, ino gadajcie, ile?

— Naprzód od skóry złoty.

— Cóż wy znowu gadacie? jaki złoty, przecie od skóry się nie płaci.

— Dziękujcie Bogu gospodarzu, że nie dwa złote—od skóry to się najwięcej płaci. A jakby wy krowy nie zabijali i ta skóra, co tu jest, żyła, to ilebyście półzłotków zapłacili, jakby ona przechodziła do miasta? Ale gospodarzu! ja wam co powiem: na co wam płacić targowe, kiedy ja wam jeszcze zapłacę.

— No, a jakże to będzie? pyta zaciekawiony Maciej.

— Na co wy ją macie wozić do miasta, co te żydy łapserdaki was oszukają i targowe musicie zapłacić, sprzedajcie ją przed miastem, dobry i złoty.

— A cóżbyście wy za nią dali?

— Niech ja od was mam pierwsze słowo, mówi żydek, wyciągając ową skórę na ziemię, a gdy się Maciej namyślali, gdzie lepiej sprzedać, przybiegli i inni żydkowie i zaczęli ową skórę przewracać na wszystkie strony i łamać i próbować i narzynać, i do słońca podnosić, szwargocąc między sobą: jakie dziury! tu i tu.

— Dacie trzy dukaty Mośku?

— Jakie wy mądre, u wa! A zkąd wy, z Bogucic?... ny, ja nie chcę wasze skór, dajcie targowe i jedźcie z Panem Bogiem, możebyście chcieli litkup, może zanieść te pieniądze za wami do Bogucic?...

— No, a ileż wy dacie?

— Ja nie chcę kupować, niech mię Bóg broni od takie handel.

— Dacie dwa dukaty i skóra wasza, mówi Maciej, myśląc, że i tak będzie więcej niż pan dawał.

— Czy z wozem końmi i ze zbożem? odpowiada kpiąc sobie żydek... Dukat to świat, i tak stracę, ale niech to będzie na waszem sumieniu, bo ja chcę, żebyście wy targowego tylko nie dali.

— Targowe zapłacę, a skóry ci żydzie nie sprzedam; ze dworu już we wsi dawali mi 35 złotych, a ja nie chciał.

— A wa! to jedźcie do dworu...

I wziąwszy opłatę, Mosiek coś krédą na skórze napisał, a rozgniewany Maciej, śmignął batem i wjechał do miasta. Około studni na rynku stanął sobie z wozem, koniom zarzucił siana, a wydobywszy pod wierzch ową skórę, zboże, i len, czekał na kupca.

Żydzi, którzy się byli już na niego zmówili, mijali furę i mijali, ani patrząc na skórę i worki. Maciej spluwał, nie tracąc nadziei, a tymczasem przyszło południe i głód zaczął mu dokuczać.

— Popatrzcie też ta sąsiedzie na furę i koniska, powiedział do znajomego chłopa stojącego tuż obok z wozem, ja ino pójdę ogolić się do żyda, bo już człek jak dziad jaki wygląda.

Tuż prawie naprzeciwko owego miejsca, gdzie jego konie jadły, wisiał mosiężny talerzyk przed oknem domostwa; żyd golibroda nazwiskiem Lubliński stał sobie przed sienią z rozrobionem mydłem, chwytał przechodzących chłopów, sadzał w izbie i w sieni i przed domem na ławce, a posmarowawszy każdemu brodę, poskrobawszy trochę stępioną brzytwą, od czego golonemu świerczki w oczach stawały, szedł do drugiego, do trzeciego i tak dalej. Musieli więc oczekiwać chłopi czasem i godzinę jaką, nim na nich kolej przyszła, albo też pozwolić sobie Ruchli Lublińskiéj wyręczającej męża cyrulika krajać w kawałki brodę, oblepiać ją plastrami hubki i bibuły.

Zaraz w tem samem miejscu najstarszy syn Lublińskiego, bardzo uczony i używany przez okolicznych mieszkańców felczer, odbywał praktykę doktorską na biednych sukmanowych pacyentach. Chwyciwszy obcęgami za ząb, nie przymierzając jakby indyka za nos, wodził chłopa po całem domostwie, a ciągnął z całéj siły; chłop wrzeszczy w niebogłosy, on nie

pyta, a szarpie, i wkońcu jak wyrwie, to albo nie ten ząb, co bolał, albo połowę, a jak cały, to z kawałem dziąsła.

— Pod hairem! macie szczęście gospodarzu, bo na takie wielgie ząb można całe główurwać.

— A bodajcie psiawiaro, lamentuje drugi, trzymając się oburącz za szczęki, ażebyś ty taki owaki... siepał i siepał, aż urwał do połowy.

— Jakieście wy glupi gospodarzu, cóż to ja kowal albo konofał? Na co rwać całe, kiedy tylko połowa chora, a czemby wy jedli orzechy?

— O zbójco jakiś, woła trzeci, patrzcie ino co za niewiara, a dyć on mi zdrowiuśki ząb wyrwał.

— Co to szkodzi? odpowiada zawsze przytomnie mądry syn golibrody, on już nie będzie za to boleć—a wa! jakie ząb, to jak u wilka.

— Ale gdzietam, ten co bolał, to boli.

— Ny, dajcie, ja go teraz wyrwę, jeden przy drugim to będzie taniéj; dacie dziesiątkę.

Tymczasem stary Lubliński, leci aż mu się pejsy trzęsą, niesie lancet i bandaż, obwija mocno rękę gospodarza, któremu krew trzeba puścić. Chłop ten, to z Bogucic także, i rok w rok na Sty Stanisław i na Sty Michał, czy trzeba, czy nietrzeba, przyjeżdża do Wiślicy i każe sobie upuścić sporą porcyą krwi gospodarskiéj...

Cyrulik ciął w żyłę, prawie że czarny strumień spracowanej krwi trysnął do góry, chłopu aż oczy się śmieją, taki kontent, gdy Lubliński pyta:

— A za wiele puścić?

— No, nie wiecie to, za półzłotka.

— Awa! to dosyć, krzyknie żyd, zatykając czemprędzéj otwór żyły.

— Lubliński! przypuśćcie'jeszcze, prosi gospodarz, spoglądając nań miłosiernie... i talerza pełnego nie naciekło jak łońskiego roku.

— Jakie wi mądre gospodarz co u wa!—teraz ciężkie czasy, za te pieniądz to i tak dużo...

— No, no przypuśćcie mój Lubliński, przypuśćcie.

— Co wy chcecie? krzyczy zagniewany, żeby wam za pół-złotka garniec puścić, czy co?

— Już nałożę trojaka.

Żyd odtyka znów żyłę, krew tryska, i jeżeli gospodarz co nie nałoży, zabandażuje naprawdę rękę, ani słuchając dalszych próśb chłopa.

Maciej się ogolił, a płacąc dwa grosze Lublińskiemu, wyjął supełek z pieniędzmi, gdzie było kilka nowiuteńkich rubli. On nie zważał na to, ale jakiś niby chłop, niby żyd, niby miejski obywatel, od tego czasu zaczął chodzić za Maciejem, a gdy stanęli przy wozie, mało targując się, kupił ćwierć żyta i jeszcze na litkup do szynkowni zaprosił... Wypili jeden półkwaterek, Maciej kazał dać drugi, bo strasznie mu przypadł do serca ten kupiec, i dalej w gawędę od tego do owego; mądry Maciej wygadał się ze wszystkiem, że zabiera się do handlowania, że ma skórę na sprzedaż i t. p.

Koło drugiego stołu, cisnęło się dużo ludzi: jakiś żydek wędrowny z trzema przegiętemi kartami pokazywał sztuki. Maciej zwyczajnie jak to chłop ciekawy, zaczął się przyglądać także, a ów nieznajomy kupiec mówi:

—Wiecie Macieju, jak kto jest szczęśliwy, to na tem dużo grosza zarobi.

— No, jakże to?

— A widzicie, ja to się znam trochę na tem; on ma trzy karty, na jednej jest takie czerwone serce w środku, i co kto postawi dziesiątkę, albo złoty, albo i więcej, a zgadnie, która jest z tych trzech owa karta z sercem, to mu ten żyd zapłaci drugie tyle.

— A jak nie zgadnie?

— To mu to, co stawił, przepada—czekajcie, ja sprobuję.

Przysunęli się tedy do stołu, a już tam dwóch czy trzech stawiało; Kajetan, bo tak było na imię znajomemu Macieja, postawił złotówkę i wygrał, postawił drugi raz, wygrał.

— Eh! to oszukaństwo, odzywa się jakiś gospodarz — gdzie tam, psiawiara nie może nic wskórać, mówi Maciéj obserwujący owego tuzaczer wiennego; kręci i obraca, ale mu nie idzie, ja kieś to niedojda żydzisko, a ludzie pieniądze biorą.

Strasznie to zajęło Macieja, miał wielką chętkę stawić, ale się strachał jeszcze, a upatrywał, a podglądał, radząc Kajetanowi, gdzie ma stawiać. Wygrywa i wygrywa, myśli sobie Maciéj, i kiedy spenetrował sobie, która jest karta z czerwonem sercem, krzyknie:

— Talarka na tę, i wydobywa czemprędzej trzy dwuzłotówki z supełka, a kartę trzyma ręką, żeby żyd nie odmienił; a żyd się droży, a Kajetan śmieje i zachęca.

Odkryto karty, Maciej rychtyk wygrał talarka.

— Jakie wy szczęśliwe gospodarzu, mówi żydek, płacąc mu pieniądze; wam to ino stawiać, a wa! z takiem okiem, z takim rozumem i szczęściem, to ja kapotę przegram.

— A widzisz żydzie, mówi uradowany Maciej i zasiada w najlepsze koło stołu i uważa i stawia: raz przegra talarka, to znowu wygra dwuzłotówkę, aż po pół godziny takiego stawiania, żyd wziął wszystkie pieniądze.

O! źle—Maciejowi okrutnie żal owych pieniędzy, i zły i zasmucony siedzi przy stole, gdy inni grają, a Kajetan wygrywa zawsze, ile razy Maciéj poradzi mu, gdzie postawić.

— No sprobujcie wy, mówi do niego Kajetan.

— Eh, a za cóż sprobuję, kiej nie mam pieniędzy?

— Ja wam pożyczę, no ile chcecie?

— Dajcie talarka.

Wziął tedy owego talarka, stawiał, wygrywał i przegrywał, ale jakoś nie mógł dawniejszych rubli odegrać.

— Stawiajcie więcej, szepcze nowy przyjaciel.

— Kiej nie mam.

— O! macie skórę, macie zboże, sprzedajcie, ja kupię.

— A dobrze, co dacie za skórę? — dwa dukaty.

Kajetan nic się nie targował i zapłacił, Maciéj kontent, że tak dobrze towary swoje sprzedał, napił się z nimi gorzałki, a napił się trochę więcéj, jak było trzeba, i znowu usiadł przy owych kartach. Stawiał i przegrywał raz po razu, a złość go straszliwa porywała, bo mając tyle pieniędzy, wkońcu został bez grosza.

Tymczasem na dworze zmierzch zapadł, chłopi z jarmarku dawno rozjeżdżać się zaczęli; Maciéj do wozu, do koni, a tu konie bez ubrania ino na uździenicach stoją odprzężone od wozu, widać złodzieje zamyślali je uprowadzić. Biedny chłopek załamał ręce z rozpaczy i płakał na cały głos jak małe jakie dziecko. Przechodzący pytali go, co mu się takiego stało, a niektórzy, co wiedzieli o jego handlu i graniu, gadali do siebie i to i owo, że go żydzi otumanili, że ten Kajetan to był ich wspólnik i t. p.

Kiedy Maciej tak desperuje i jechać nie może, bo niema w co zaprządz wygłodzonych koni, staje jakiś pan przed nim, i widząc stojące tylko w uździenicach konie, pyta, czy to na sprzedaż.

— A na sprzedaj, na sprzedaj, odpowiada Maciéj, bo nie mając ani grosza przy duszy, za coby kupił ubranie, myśli sobie, że teraz i wóz i koniska na nic mu się nie zdały. Po krótkim więc targu, sprzedaje to wszystko za piętnaście dukatów, chowa pieniądze do kobiałki, którą miał na sobie, i markotny bardzo zabiera się ku domowi, przeklinając i handel i karty i skórę i owego Kajetana, co go namówił.

Idzie sobie tedy ulicą, aż tu wypada z szynku ten zdrajca Kajetan.

— Cóż to Macieju, nie macie koni?

— Idźże sobie ty siachraju jakiś, ty rajco przeklęty, bo jak cię lunę, to obaczysz.

— Eh! gospodarzu, czego wy się gniewacie, kto winien, żeście przegrali? Wyście mądrzy, ale straszny gorączka; jak nie idzie, to trza się zatrzymać, ja was trącałem prawda, ale jakeście się zaciekli...

— Oj prawda, żem się zaciekł to zaciekł — o biedny ja, biedny, co ja też teraz zrobię, ani kuni, ani wozu, ani niczego.

— Przeciężeście sprzedali.

— Eh! co ta te piętnaście dukatów znaczą, kiej w chałupie bieda, ani to czem w polu robić, ani czynszu zapłacić, ani podatków.

— No, no, nie frasujcie się mój Macieju, i mnie was żal bardzo, bo widzicie i ja choć nie bogaty, ale wygrałem ze sto złotych; co ta, odbije się to wszystko, no, no, mój Macieju, ja nie wiem jak, ale mię coś strasznie ciągnie ku wam i żebyście wstąpili na kieliszek.

— Nie, nie, ta gorzałka wszystkiego złego mi narobiła.

— Eh! po jednym tylko, po jednym.

Wstąpili znowu, ale już do innego szynku. Maciej nie chciał pić więcej, gdy rozochocony Kajetan tak go całuje, tak ściska, jak nie przymierzając rodzonego brata. Maciej dobre mieli serce, żali się a płacze, a narzeka, a Kajetan mu na to:

— Wiecie co Macieju, jeżeli tak mi życzycie, jak ja wam, toże się już ostatni raz może z sobą widzimy; bo widzicie ja jestem sobie aż zza Kielc ze Suchedniowa, to zrobicie mi jednę rzecz.

O dla Boga, cóż nie mam zrobić, kiedy wy tacy dobrzy jesteście.

— A to widzicie, wygrałem, wyście przegrali, niechże ja wam za to kupię nową sukmanę.

Maciéj uradował się bardzo, jak zaczął całować Kajetana, jak zaczął dziękować, to aż

spłakało się biedne chłopisko, że mu też Pan Bóg zesłał takiego dobrodzieja.

Ponieważ żydzi handlujący sukmanami jeszcze towarów swoich nie sprzątnęli, więc Kajetan zaprowadził Macieja na rynek i prosił, żeby sobie najlepszą sukmanę obrał, a on zapłaci. Oglądają i oglądają: ta dobra, ta ładna, ta jeszcze lepsza. Maciej kiedy już miał dostać, to chiał wybrać co najlepszego.

— Jużci chyba ta będzie.

— Dobrze, weźcie tę, tylko trzeba przymierzyć, bo żydzi się spieszą.

Maciéj, coby także chciał jak najprędzej wyjść ku chałupie, zrzuca stare sukmanisko z siebie, zdejmuje kobiałkę, a Kajetan trzymając oboje w ręku, pomaga mu wdziewać nową.

— Jakby na mnie, prawiusieńko, odzywa się Maciéj, zwracając mowę do Kajetana, ale w téj samej chwili ów Kajetan zostawia starą sukmanę, a z kobiałką w nogi.

— Łapaj! trzymaj! moje pieniądze! krzyknie Maciej i za nim, ale żydzi, w których sukmanę się ubrał, łap go za poły, i nim miał czas się rozebrać, Kajetan zniknął w ulicy, a Maciéj jak głupi, bez niczego został na rynku.

Całą noc szukał, cały drugi dzień chodził, pytał się, skarżył, gdzie tam złodzieja znajdziesz? przepadł jak kamień w wodzie.

—

We trzy dni potem, jeszcze bardzo rano, szedł jakiś człowiek przez las ku Skotnikom. Miał on na sobie podartą i strasznie sponiewieraną sukmanę, boso, w przyklapniętym kapeluszu, posuwał się wolno, podpierając laską, a patrzał dokoła, jakby czegoś po drzewach wyszukiwał; a twarz miał bardzo zmizerowaną, oczy blade, wpadnięte i gruby koło ręki obwinięty postronek.

Był to ten sam Maciéj handlarz z Bogucic, schorowany, znękany, wygłodzony, szedł ku domowi, a szedł powoli, bo w jego sumieniu tak było czegoś straszno, a na sercu taki żal i smutek, że nawet zapłakać nie potrafił. Ale ile razy wspomniał o żonie i dzieciach, jaki tam głód u nich być musi, jak oni czekają ojca i idą na przeciwko po gościńcu, to stawał wtedy i patrzył na drzewa i wahał się i znowu szedł daléj.

— Niech się dzieje co chce, krzyknął wreszcie tak mocnym głosem, że ptastwo zlęknięte sfrunęło z gałęzi; wzięli kaci wszystko, to niechże i mnie wezmą.

To mówiąc, już prędszym krokiem zszedł z drogi, rozwinął ów postronek i patrzył do góry, gdzieby go najlepiéj zadzierzgnąć. A tu jakby na przekorę dzionek był prześliczny majowy, ptastwo śpiewało tak ładnie, jak nigdy wprzód nie słyszał; słonko przedzierając swe promienie przez gęstwinę liści, patrzyło mu oko w oko z takim wyrzutem, że Maciejowi opadały ręce, a w sercu żal powstał drogiego każdemu życia. Nareszcie rzucił raz postronek do góry, ale ten zaczepić się nie chciał, rzucił drugi raz, to samo, chce rzucić raz jeszcze, gdy wtem jak szarpnie ktoś za niego—obejrzy się przestraszony, a tu ksiądz Reformat złożywszy we dwoje ów postronek, jak go zacznie okładać i tu i tam, jak zacznie walić: A nie odbieraj sobie hultaju życia, kiedyś go sobie nie dawał, a nie odbieraj!

Maciéj w nogi, ksiądz za nim, a wali, co się tylko zmieści; Maciéj krzyczy, i wreszcie nie mogąc wytrzymać, upada mu do nóg, prosząc o przebaczenie. Dopieroż ksiądz jak wsiądzie na niego, jak zacznie pytać, jak zacznie perswadować i grozić, to Maciejowi gdyby deszcz jaki łzy puściły się z oczu.

— A widzisz ty grzeszniku jakiś, jakto źle zapominać o Panu Bogu, nie słuchać rad uczciwych ludzi i żony, a łaknąć lekkiego chleba żydowskiego. Pracuj tam, z czego masz życie, z téj świętéj ziemi, matki naszej i karmicielki. Nabroił, nabroił, i jeszcze chciał sobie życie odebrać, żeby nieszczęśliwemi uczynić duszę swą, żonę i dzieci. Wstydź się, taki chłop zdrów i młody, tracisz nadzieję, nie chcesz pracować i na wisielucha się wykierowałeś. I mówił jeszcze długo o różnych rzeczach, a Maciéj płakał i płakał, przyrzekając poprawę—jakoż skoro nadjechała fura księdza kwestarza, pojechał z nim razem do Pińczowa, spowiadał się bardzo szczerze, kommunią Stą przyjął i całkiem inny wrócił do domu.

Dziś Maciéj liczy się do najbogatszych czynszowników w Bogucicach; co rok w ten dzień, w którym mu Pan Bóg rozum przywrócił, jeździ z familią do Pińczowa, daje na nabożeństwo, a staruszek kwestarz, co go przypadkiem od śmierci wybawił, kocha go bardzo, radzi mu w każdéj potrzebie jako najlepszy ojciec i opiekun. Ile zaś razy kto z młodych sąsiadów wybiera

się na usługi żydowskie, opowiada Maciéj swoje zdarzenie, wyjmuje ów postronek ze skrzynki i powtarza: bić, bić każdego, co zapomina o Panu Bogu, co nie pilnuje roli, co goni za lekkim chlebem; bo jużci lepiéj, żeby ten postronek walił go po plecach, niżeli okręcał się koło szyi na zatracenie wieczne jego duszy.

O farbowaniu drzewa.

III.

(Patrz nr. 8 Czytelni z r. b.)

3. *Farba czerwona.*

Wydobyć ją można z koszenili. Pół łuta tego farbierskiego materyału należy utrzeć miałko, wsypać do $2\frac{1}{2}$ funtów miękkiej wody, wraz z 2 łutami proszku kamienia winnego, wszystko zagotować w naczyniu glinianem, albo cynowem, albo też grubo pobielanem miedzianem, odcedzić i dodać 2 łuty kompozycyi cynowéj.

Drugi sposób wydania tejże farby polega na użyciu fernambuku. Ośm łutów tego materyału, zmieszane z jednym łutem ałunu, gotują się w wodzie, póki cała farba z wiórków farbierskich nie zostanie wygotowaną. Drzewo zaprawia się poprzednio rozpłynem wodnym ałunu, lub kompozycyą cynową; poczem napawa się czerwoną kąpielą powyższą. Dodawszy podczas gotowania fernambukowéj farby mniej lub więcéj drzewa żółtego (Gelbholz), można sprawić odcienia czerwone w pomarańczowy przechodzące. Korzeń marzanny (Krapp) użytym bywa z korzyścią do podobnych celów. Dziesięć łutów mączki z niego zrobionéj, jakiéj dostanie gotowéj w składach materyalistów aptecznych wsypać potrzeba do 3 funtów wody, mieszaninę ogrzewać ciepłem bliskiem wrzenia przez pół godziny, odstawić, dodać nieco kompozycyi cynowéj, odcedzić i wcierać w drzewo, poprzednio zaprawione rozpłynem wodnym ałunu.

Chcąc na powierzchni drzewa wyprowadzić kolor karmazynowy, bierze się na 2 łuty wody, 1 łut miałkiéj koszenilli i 2 łuty kamienia winnego, następnie przydaje się 6 łutów kompozycyi cynowéj i ammoniaku tyle, iżby kolor żądany płynu farbującego otrzymać. Drzewo w kąpieli tego rodzaju przez kilka dni moknąć powinno.

Drzewo wiśniowe przyjmuje piękny brunatnoczerwony kolor, powlekając je gęstym rozmętem wapna w wodzie (Kalkmilch) po wyschnięciu powłoki, trzeba ją szczotką wytrzeć, w końcu mokrą gąbką do reszty od nadmiaru wapna oczyścić.

4. *Farba fioletowa.*

Chcąc takową otrzymać, należy poprzednio ufarbować drzewo na czerwono wywarem fernambukowym, jakto opisano pod nrem 3cim; następnie mocząc, lub pocierając powierzchnię słabym ługiem wodnym potażu handlowego, kolor wkrótce przemienia się w żądany.

Podobną barwę nadaje się drzewu, bejcując je przedwstępnie słabym rozpłynem wodnym koperwasu miedzianego (sulphas cupri v. cuprum sulphuricum), a po wyschnięciu farbując odwarem wodnym, zrobionym z 2 części kampeszu i 1 fernambuku, z małym przydatkiem ałunu. Ostatni sposób farbowania na fioletowo, polega na użyciu kąpieli wodnéj z koszenilli z przydatkiem ałunu, do któréj w miarę żądanego odcienia fioletowego, dodaje się roztworu indyga w kwasie siarkowym czyli wytryoleju.

Myśli i zdania moralne.

1. Czyć los sroży się, czy śmieje,
Zawsze w Bogu miéj nadzieję.

2. Kto się zdał na wolę Bożą,
Tego piekła nie zatrwożą.

3. Co nas cieszy, co nas boli,
Wszystko to jest z Bożéj woli.

4. Słabéj jest ten człowiek wiary,
Co wierzy w gusła i czary.

5. Pamięć tego nie umiera,
Kto biednemu łzy ociera.

6. Kłamca, ma za kłamstwo karę,
Że na zawsze traci wiarę.

7. Nie wykroczy ten na jotę,
Co dla cnoty kocha cnotę.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 1 (13) kwietnia 1858 r. Starszy cenzor, F. Sobieszczański.